№ 12. Warszawa, dnia 11 (23) Marca 1881 r. Rok II.



PISMO ILLUSTROWANE TYGODNIOWE DLA KOBIET, WYCHODZĄCE W KAŻDĄ ŚRODĘ.

POŚWIĘCONE LITERATURZE, WSZELKIM GAŁĘZIOM PRACY KOBIECEJ ORAZ MODOM.

Warunki prenumeraty Edycyi I-ej,
w Warszawie: Miesięcznie kop. 42, kwartalnie rs. 1 kop. 25, półrocznie rs. 2 kop. 50, rocznie rs. 5.
Na Prowincyi: Kwartalnie rs. 1 kop. 60, półrocznie rs. 3 kop. 20, rocznie rs. 6 kop. 40.

ADRES REDAKCYI:
ulica Niecała Nr 8.

Warunki prenumeraty Edycyi II-ej,
w Warszawie: Miesięcznie kop. 75, kwartalnie rs. 2 kop. 25, półrocznie rs. 4 kop. 50, rocznie rs. 9.
Na Prowincyi: Kwartalnie rs. 3, półrocznie rs. 6, rocznie rs. 12.

OD REDAKCYI.

Z dniem 1 Kwietnia r. b. rozpoczyna się nowy kwartał naszego pisma. Upraszamy przeto o śpieszne odnowienie prenumeraty.

W następnym numerze rozpoczniemy druk powieści **SEWERA**; w przyszłym kwartale drukować będziemy między innemi, utwory i prace literackie: **Michała Bałuckiego**, **Klemensa Kanteckiego**, prof. dr. **Juliana Ochorowicza**, **Walerego Przyborowskiego** i, innych.

Rozszerzymy również dział krytyki literackiej i artystycznej, otworzymy łamy naszego pisma wyczerpującemu rozważaniu spraw, odnoszących się do stanowiska i pracy społecznej kobiety. W ogóle dołożymy wszelkich starań, ażeby pismo nasze stopniowo ulepszać i rozszerzać.

PRENUMERATA WYNOSI:

W WARSZAWIE:

Miesięcznie	Rs. —	kop. 75
Kwartalnie	„ 2	„ 25
Półrocznie	„ 4	„ 50
Rocznie	„ 9	„ —

NA PROWINCYI i W CESARSTWIE:

Kwartalnie	Rs. 3
Półrocznie	„ 6
Rocznie	„ 12

Dla życzących sobie prenumerować samą tylko **część modną**, ustanowiliśmy cenę:

W WARSZAWIE:

Miesięcznie	Rs. —	kop. 42
Kwartalnie	„ 1	„ 25
Półrocznie	„ 2	„ 50
Rocznie	„ 5	„ —

NA PROWINCYI i W CESARSTWIE:

Kwartalnie	Rs. 1	kop. 60
Półrocznie	„ 3	„ 20
Rocznie	„ 6	„ 40

Zwracamy uwagę szanownych prenumeratorek, że nadsyłanie przedpłaty wprost do redakcyi (Niecała Nr 8), najpewniejszą, dla uniknienia pod tym względem zawodu, stanowi drogę.

W KRAINIE ZŁOTA.

NOWELLA.

PRZEZ

LITWOSA.

(Dokończenie patrz Nr. 6).

Mary Monteray schyliła głowę, po chwili zaś poczęła mówić:

— To co teraz powiem, Rows, mówię po wejrzeniu w głąb' swego serca i po namyśle. Przyjechałam tu i nie wrócę więcej na Wschód. Kalifornia będzie odtąd moją ojczyzną—jestem więc Kalifornijką, pionierką. Pod tym względem stoimy na równi... Nie proś mnie o przebaczenie, boś mi uratował życie. Mam ci spłacić wielki dług— i... jeśli w tym długu przyjmujesz moją rękę — oto ona.

Nastała chwila ciszy—słychać było tylko szum kaskad i pogwizdywanie czerwonoskrzydłych szpaków....

Rows wyglądał jak człowiek, który ugina się pod brzemieniem szczęścia. Nakoniec przerwał milczenie.

— O! miss Mary,—nie mów nic podobnego. Raz zdarzyło mi się także uratować życie jednemu gambusinowi meksykańskiemu, który potem, gdyśmy na pustych placerach znaleźli dużo złota, mawiał do mnie: schowaj swoje nugety— nie kuś mnie. Teraz ja toż samo, pani: nie kuś mnie. Ja twoim mężem?... ja prosty człowiek, który zaledwie umie pisać i czytać?...

— Jestem prostą dziewczyną i mogę zostać żoną uczciwego pioniera.

— O, Boże!—mówił Rows, ściskając głowę rękoma,—widziałem żony pionierów z tamtej strony Wielkich jezior: wszystkie żuły tytóń i piły wódkę. Pani żoną pioniera? Nie, miss Mary.... A przytem... zwaryowałbym ze szczęścia. Nie umiem tak pięknie mówić jak gentlemani ze Wschodu, ale przecie rozumiem, że pani nie możesz mnie tak kochać, jak ja panią... Powiedz Mary, czy tak nie jest? Czy byłabyś ze mną szczęśliwą? Czym ja mąż dla ciebie... Żyjąc ze mną, ujrzałabyś żem prostak, żem ja jak dziecko, jak czerwonoskóry, który tylko w lesie umie sobie dać rady, a między ludźmi nie... Beg your pardon!.... Tak przecie głupi nie jestem, żebym nie rozumiał tych prostych rzeczy: pani jest jak inny człowiek, który umie czytać książki i wie co w nich napisano, a ja rozumiem się tylko na kopaniu i karabinie. Pani musiałabyś się wstydzić, za moje prostactwo... Mówisz pani, że płacisz dług? O! Rows jest zauczciwy, by miał brać taką lichwę. Teraz mi jesteś wdzięczną, później

przestałabyś nią być. Kto kocha, temu kochania wystarczy na całe życie,—ale wdzięczności... nie. O by Good! gdybym się tylko uczył.... gdybym nie potrzebował teraz mówić sobie: Rows, mój chłopcze! jesteś dla niej zagłupi..... Nie—Mary, nie!...

Łzy popłynęły z oczu górnika. Zakrywszy twarz rękoma, siedział dlugo w milczeniu—potem znów ozwał się:

— Jaka pani dobra jesteś, Mary!... jaka dobra! Niech Bóg błogosławi tę rękę, którą chciałaś mi oddać... O! czemu nie jestem gentlemanem ze Wschodu...

Good bye Mary!...

Przycisnął jej ręce do ust i powstawszy, udał się chwiejnym krokiem ku domowi....

Mary przez chwilę pozostała sama. I w jej oczach błyskały łzy... Kochała tego leśnego człowieka, ale zarazem czuła, że w słowach jego było dużo prawdy. Ona była istotą z innego świata — on z innego. Czy mogli być szczęśliwi, gdyby im przyszło żyć zawsze razem, życiem codziennem,—życiem męża i żony.... A jednak on w prostocie swojej, taki był zacny i szlachetny!...

Wstawszy, chciała iść za nim, tymczasem górnik ukazał się na werendzie w kapeluszu już i z karabinem w ręku....

— Gdzie idziesz, Henry?—spytała Mary....

— Do lasu.... Wykopię moje złoto i pojadę na Wschód... uczyć się... Mam za co. Jestem bogaty. Pracowałem rękoma, będę pracował głową. Nie chcę być dłużej gburem leśnym,—chcę zostać oświeconym gentlemanem, który rozumie, co mówi każda książka... Gdy się czegoś nauczę,—wrócę tu i wówczas.... jeśli panią tu znajdę.... to...., pamiętaj Mary....

— Wówczas może przestaniesz mnie kochać?...

— O Mary! Mary!...

Ostatnie słowa brzmiały nawpół jak wyrzut, nawpół jak modlitwa... . . . .

. . . .

Rows oddalił się... Na wzgórzu między skałami raz jeszcze błysnęła lufa jego karabina i kapelusz zakołysał się na znak pożegnania w powietrzu—potem ciemna zieleń lasu zamknęła się za nim....

XIII.

Statek „Ellen Mouvoe,“ który przywiózł do Kalifornii zapasy zboża, opuszczał właśnie pyszny „bay“ dzisiejszego San-Francisco, udając się z powrotem naokoło Cane Horn do New-Yorku.

Na statku, prócz załogi, znajdowało się kilkunastu górników, którzy zabrawszy z sobą fortuny, znaczne majątki, udawali się z powrotem w strony ucywilizowane.

Kilku towarzyszy żegnało ich na drogę. Tamci byli już na pokładzie, ci zaś stali na świeżo zbudowanym warfie machając kapeluszami i chustkami. Między nimi znajdujemy gromadkę naszych znajomych: jenerała Suttlera, Tallera, niewidomą Nelly i Mary Monteray...

Mary z oczyma wzniesionemi ku pokładowi i z chustką w ręku przesyłała wzrokiem ostatnie pożegnanie Rowsowi, który odjeżdżał na Wschód...

Rows przechylony przez balustradę, patrzał w nią z całą tą siłą oczu, którym chwilę tylko jemu, wolno patrzeć na ukochaną istotę.

Na statku tymczasem zaciągano mały, trójkątny żagiel, blizki dzioba. Okręt chwiał się już pod podmuchami wiatru. Żagle wydymały się o krągło, lub z łopotem opadały napowrót. Załosne: „O—ho—ho!“ majtków, towarzyszące ciągnieniu lin, rozlegało się co chwila. Sternik z posępną twarzą morskiego wilka, stał już przy sterze. Chłopiec zaś w bocianiem gnieździe, śpiewał całem gardłem:

„He, he, saylor is smart boy!...

Hurkotanie pak wtaczanych przez mostek z warfu na pokład, ustało wreszcie, mostek usunięto. Ludzie na okręcie zostali już rozdzieleni od tych, którzy zostali — głęboką szczeliną, na dnie której połyskiwała woda...

— Go ahead!—rozległ się głos kapitana...

Woda zachlupotała po bokach statku, sam zaś statek począł się odsuwać cicho i lekko od warfu...

— Remember!—rozległy się głosy z brzegu....

— Remember Henry!...

— O, Mary!...

— Bądź zdrów Henry...

— Niech cię Bóg błogosławi, Mary....

Wiatr porwał resztę słów i westchnień. Statek z cieniów brzozowych wysunął się w jasne błękity, mocno oświecone słońcem. Wielka błękitna nieskończoność otwierała się przed nim, również błękitna mgła, poczęła go zwolna przesłaniać.... Śpiewy majtków głośne z początku, zmieniły się w gwar, który chwilami można było tylko usłyszeć, potem w mruczenie niewyraźne, potem w szmer — statek zmniejszał się. Bystre oczy mogły jeszcze przez jakiś czas odróżnić na nim przechyloną postać i powiewający kapelusz; potem wszystko zlało się w jedną massę; massa przeszła niby w białe skrzydło mewy, widne zdala na toni; skrzydło zmieniło się w niewyraźną chmurkę — chmurka w punkt — a potem i punkt stopniał; błękit ogarnął wszystko i zapanował samowładnie na niebie i na ogromnym San-Franciskańskim „bay'u.“

Myśli tylko — posłanki serc kochających, przelatywały przestrzenie morskie z brzegu na statek i ze statku na brzeg....

K O N I E C.

Z TYGODNIA.

— Od dni kilka goszczą w murach Warszawy, pobratymcy, serbowie z Łużyc: ks. Hórnik i Jan Smolar, witani z serdecznością i sympatyą wielką.

Obaj oni są przedstawicielami garstki Słowian: Serbów Łużyckich, którzy przez ośm wieków opierali się wynarodowieniu i pomimo wielkiego nacisku Niemców, zachowali swą mowę, mają własną literaturę, tworzą stowarzyszenia literackie, a „Macierz Serbska,“ dzielną jest w tych celach pomocą.

Obaj apostołowie narodowości słowiańskiej, gorliwie pracują na niwie ojczystej, razem redagują i wydają „Serbskie Nowiny,“ religijne „Missionski Posel,“ miesięcznik „Łużyczan“ i „Lipa Serbska;“ założyli „Macierz Serbską“ dla wydawania książek ludowych, razem też do nas zawitali z prośbą o pomoc dla pobratymców.

Brak im na stypendya dla młodzieży żądnej nauki; kraj ubożuchny dostarczyć funduszu nie może.

— Szczęściem dla Was, czytelniczki, nie nagana, ale pochwała Was spotka, bo gromadząc się licznie na koncert na rzecz niezamożnych uczni, pod. dyr. p. Müncheimera, dowiodłyście, jak żywo Was obchodzi los uczącej się młodzieży. A wielu czekało pomocy, pod grozą opuszczenia murów szkolnych.

Wzruszające epizody opowiadały pisma o tych biedakach w letnich płaszczykach, w podartych butach, przy łojówce ślęczących nad nabyciem wiedzy. Tu brat, czeladnik rzemieślniczy, siłą całą pracuje, aby rodzeństwu oprócz chleba, zapewnić skarby nauki. Tam babka, staruszka, kosztem zdrowia, zdobywa potrzebny fundusz na posyłanie trojga wnucząt do szkoły; lecz nadwątlone siły nie dopisały,—któż zapewni sierotom dalszą naukę?...

Oto na Was ciąży obowiązek wykształcenia pożytecznych członków społeczeństwa; nie jest to ciężar nad możność,—każdy niech cośkolwiek na cel ten odłoży, a fundusz potrzebny się znajdzie dla zabezpieczenia biedaków od wydalenia tak bolesnego z klas.

Dawno u nas mówią o stowarzyszeniu „Pomocy dla uczącej się młodzieży,“ której potrzebę aż nadto dobrze wszyscy widzą.

Zdaje się, że Galicya nas pod tym względem uprzedzi; zawiązane tam „Stowarzyszenie pomocy naukowej,“ zasługuje na wielką baczność.

Stowarzyszenie urządza kosztem swym odczyty, zakłada biblioteki przy szkołach.

Dość nam przytoczyć podobną instytucyę w Dublanach pod Lwowem. Zakład odcięty daleką przestrzenią od miasta, nie przedstawia żadnych rozrywek dla wychowańców; stowarzyszenie zatem dostarcza im sposobności do miłego spędzenia czasu poza godzinami nauk. Biblioteka złożona z tysiąca dzieł, pisma z kraju i z zagranicy, są ku temu wielką pomocą. Wieczorki deklamacyjno - muzykalne i odczyty urządzono staraniem stowarzyszenia. Przedmiot prelekcyi obrano ekonomiczno-rolniczy, jako odpowiadający duchowi szkoły. Zarząd tak praktycznie prowadził szkołę, że z oszczędności utworzył jedno stypendyum i rozdzielił pożyczki.

Stowarzyszenie posiada obecnie około ośmiu tysięcy złr.

— „Muzeum przemysłu“ ogłasza, iż urządzi wystawę sztuk, zastosowanych do przemysłu.

Wyroby naszego przemysłu pozbawione są zupełnie cech artyzmu. Sztuka w zastosowaniu do zwykłych sprzętów codziennego użytku, jest w zupełnem uśpieniu. Wdzięczniejsze formy kształtów, są tylko ślepem naśladownictwem, a rzemieślnik, ani na przemysł oryginalny ani na wykwintniejszą robotę zdobyć się nie potrafi. W ogóle zmysł estetyczny mało u nas jest rozwinięty, a cacka i t. p. przedmiota drobnej sztuki, sprowadzać musimy z zagranicy, poświęcając na to miliony.

Wielkiej też doniosłości będzie zapowiedziana wystawa, szczególniej jeśli pomyślaną i przeprowadzoną będzie odpowiednio w zakresie jak najszerszym i, niewątpliwie wpływ wielki wywrzeć będzie mogła na zasklepionego w rutynie naszego rękodzielnika, wskazując mu kierunek dalszej pracy.

Oprócz tego w miesiącu czerwcu, Muzeum zapowiada drugą wystawę: ozdobnych roślin i owoców letnich. Jest tu szerokie pole dla okazów pracy kobiecej. Panie nasze wiejskie powinny wcześnie pomyśleć o zaprodukowaniu swych usiłowań całorocznych, bo i wystawa drobiu jest ku temu doskonałą sposobnością.

Z kwiatów i roślin, najpożądańsze będą: palmy, paprocie, begonie, banany, aloesy, kaktusy.

Z owoców, jedynie truskawki w tej porze mogą być dojrzałe, te więc najliczniej zapewne będą reprezentowane.

Osoby chcące przyjąć udział w Wystawie, powinny nadesłać swe deklaracye do kancelaryi Muzeum (Plac Krasińskich Nr 3).

— Wielkiej dojrzałości przykład dała młodzież polska w uniwersytecie Dorpackim, wykluczając pojedynki zakorzenione tam zwyczajem niemieckim i postanawiając odtąd wszelkie spory między studentami, rozstrzygać sądem polubownym.

Nie wątpimy, że przykład ten niepozostanie bez wpływu na innych i nie jedną rodzinę uchroni od nieszczęścia.

Ileżto było przykładów, iż młodziutkie, zaledwie zaczynające się życie, za lada drobnostkę przerwane zostało, przez skorą do burdy i pojedynkowania krew młodą.

Jak nie pochwalić również zajęcia się gorliwie sprawą pomnika Mickiewicza. Fundusze rosną, i niedługo zapewne czekać wypadnie na pomnik dla Adama w starym grodzie Krakusa, a kamień węgielny do niego położyła młódź akademicka z różnych stron kraju, kształcąca się w Krakowie.

— Pierwszy odczyt na Osady rolne, miał pan Feliks Kucharzewski, inżynier, o Jerzym Stephensonie i pierwszych kolejach żelaznych.

Prelegent rozpoczął rzecz od wozu, którego wynalazek przypisują Cyrusowi. Wóz taki przenoszony z miejsca na miejsce za pomocą konia, był już wielkim krokiem naprzód, którego ostatnim postępem jest kolej, poruszana za pomocą pary.

Początkowo konstrukcya wozu była bardzo prostą, polegającą na wałkach toczących się po ziemi. Użycie krążków zamiast wałków, obciągnięcie ich obręczami żelaznemi, wielkiem już było oszczędzeniem siły. Nowym w tym kierunku wynalazkiem były szyny drewniane, po których toczyły się koła, zyskując wiele na pośpiechu, bo wóz prędzej się poruszał, zmniejszając $^2/_3$ ciężaru, to jest, że tenże sam koń, po zwykłej drodze ciągnąc jeden wózek z węglami, mógł po szynach trzy wózki prowadzić.

W sto lat potem, bo w roku 1768, inżynier Reinold wprowadził szyny żelazne, a wózki na żelaznych kołach osadził. Około tego czasu zaczęła wchodzić w użycie machina, której udoskonalenie i zastosowanie do dzisiejszego użytku zawdzięczamy Jerzemu Stephensonowi; u nas pierwsza kolej ukończoną została w 1845 r. Dziś długość kolei na świecie wynosi przeszło 30,000 mil, z czego na Królestwo przypada 200, a chociaż konstrukcyą maszyny parowe, różnią się wiele od swego pierwowzoru, zrobionego przez Stephensona, jednak niezapomnieć należy, że on głównie przyspieszył jej praktyczne użycie, w skutkach błogo na handel i dobrobyt ogólny oddziaływające. Dla nas nazwisko Steinkelera powinno być z pamięcią o Stephensonie złączone.

Odczyt był bardzo zajmującym i przystępnie opowiedziany.

— Odczyty pedagogiczne p. A. Dygasińskiego, odbędą się zakładzie Froeblowskim, pani Teresy Mleczko, przy ulicy Wiejskiej Nr 16.

Oto ich program:

Część 1. Przegląd historyczny nauczania poglądowego i jego zastosowanie w praktyce od wieku XV, aż do naszych czasów.

Część 2. Na czem polega nauczanie poglądowe i jakie są jego zadania?

Część 3. Rozbiór lekcyi o zwierzętach domowych, o ptakach, owadach, ciałach kopalnych oraz zjawiskach przyrodniczych.

Wszystkich odczytów będzie dwanaście.

Pierwszy będzie miał miejsce w niedzielę, dnia 27 Marca r. b.

— Pan J. B. R. w N-rze 2 „Ogrodnika Polskiego," wystąpił z listem otwartym, żądającym wskazania mu, na jakich warunkach właściciele ogrodów wiejskich, mogliby zyskać pomoc wykształconego ogrodnika.

W N-rze 5 tegoż pisma, dwaj jego współpracownicy, a zarazem ogrodnicy, panowie Wł. Turkowski i Bohdan Zaleski, dają na wezwanie powyższe odpowiedź.

Drugi z nich w odpowiedzi swej powiada między innemi:

„W roku już 1879, pan E. Jankowski, w artykule: „Słówko o wiejskich ogrodnikach i ogrodach," podał projekt utworzenia posad inspektorów-ogrodników, którzyby za pewnem wynagrodzeniem rocznem, dozorować mogli kilka, albo kilkanaście wiejskich ogrodów w jednej okolicy.

Przy otwarciu bieżącego roku szkolnego w szkole ogrod. warsz., dyrektor tejże podjął myśl, powtórzoną z uznaniem przez prassę, ażeby obywatele wiejscy każdego powiatu utrzymywali wspólnym kosztem (roczne utrzymanie wynosi rs. 250) jednego pensyonarza w szkole ogrodniczej. Łącząc te dwa projekty razem, otrzymamy dobitną odpowiedź na „List otwarty" p. J. B. R.

Wykształceni kosztem wspólnym obywateli każdego powiatu pensyonarze, zajmą następnie posady inspektorów ogrodów tego powiatu. Nie będzie w tym razie potrzeby zwracania się wdalekie, często o kilkadziesiąt mil odległe miejsca, po specyalistów do cięcia drzew owocowych, budowania szklarń, urządzania części ogrodu lub kwietników, zakładania ogrodowych winnic i t. p. Szkoła nauczy tego swoich wychowańców."

Słowa powyższe przytaczamy, pragnąc, aby one zwróciły uwagę jak najszerszego ogółu właścicieli ziemskich.

M. R.

Wyjątek z tragedyi w 5 aktach p. t.

„KAMBYZES."

PRZEZ

Juliana Łętowskiego.

OSOBY:

Gaumata, dworzanin i powiernik Kambyzesa.

Aftana, dawniej kapłanka medyjskiej bogini Anajty, obecnie jedna z służebnych królowej Elsany.

Charsis, sługa Gaumaty.

AKT DRUGI, SCENA SZÓSTA.

(*Dziedziniec pałaców królewskich w Ekbatanie*)

Gaumata (*sam*)

Więc dokonałem dzieła!... Za chwil kilka
Elsana będzie już królewską żoną,
Bardya utraci kochankę, Kambyzes
Zyska, co pragnął — a Gaumata weźmie
Nagrodę!... Wszystko to już za chwil kilka!
Prędzej więc, prędzej, spiesz się gwiazdo dzienna,
Pilno mi zbierać owoc mojej pracy!

(*chce oddalić się, lecz spojrzawszy na prawo, zatrzymuje się*)

Ha! znów ta dziewka królowej.... Rozumię...
Elsana czuje, że coś Bardyi grozi,
I śle służebne swe na zwiady... Ha, ha!
Trochę zapóźno — zapóźno!

(*wstępuje na stopnie po lewej, chcąc wejść do pałacu, po prawej ukazuje się Aftana, z zasłoną na twarzy*)

Aftana.

Gaumata!

(*Gaumata zatrzymuje się i odwraca—Aftana odkrywa zasłonę z twarzy*).

Gaumata.

(*z wzrastającem przerażeniem, zbiegając ze stopni*)

Co to? Śnię?... Ona?... Ty, Aftana?... Tutaj?

Aftana.

Tak, ja!

Gaumata.

Kto cię tu sprowadził? Kto tobie
Powiedział, że ja tu jestem i po co
Przychodzisz do mnie?

Aftana.

Szukałam cię długo,
Przez kilka wiosen i znaleźć nie mogłam —
Teraz dopiero — od śmierci Cyrusa —
Gdzie stąpię, imię twe ściga mnie wszędzie
Związane z króla nowego imieniem:
Król i namiestnik, Kambyzes—Gaumata,
Dwa wrogi moje!

Gaumata.

Milcz!

Aftana.

Przyszłam więc ujrzeć,
Czyliś naprawdę już tak wielce urósł,
Że patrzy na cię lud i kląć zaczyna,
Jak klną twą pamięć ci, których rzuciłeś
Ongi na pastwę siepaczów Cyrusa,
Sam chroniąc głowę pod płaszcz uświęcony
Brata swojego...

Gaumata.

Milcz, szalona! Chyba
Nie wiesz, że tutaj każda ludzka głowa
Jest jak dojrzały owoc palmy — dosyć
Potrząść, a zleci....

Aftana.

Ha! i tyż to miałeś
Zbawić Medyę? Tobież to mój ojciec —
Jako ostatni z wodzów Astjagesa
Powierzał losy ziemi, która chciała
Z Achemenidów wydobyć się szponów?
Ciebież to uczył wojować z Cyrusem —
Ciebie, co dzisiaj pierwszym jesteś sługą
Tronu, przeciwko któremuś przysięgał
Walczyć do śmierci?...

Gaumata.

Milcz! milcz! albo— —

Aftana.

Ha, ha!
Ciebież to widzę w tem przebraniu, ciebie,
Któryś był wodzem mężnych Medyi synów,
Pamiętających dni swych własnych królów —
Dni Fraortesów i Cyaksaresów—
I nie mogących spoglądać spokojnie
Na hańbę Medyi, co na twarz padała
Przed jednym persem żarłocznym?— —

Gaumata.

Milcz!!

Aftana.

Ciebież
Ja widzę—kochanka i męża
Swobodnej dziewki medyjskiej—Aftany?
Ha! nie—nie! W tobie ni jednej nie było
Medyjskiej kropli krwi!.. Dziś tam dopiero
Poczną się rodzić tacy, jak ty— —

Gaumata.

Węzu!
Kobieto!!

Aftana.

Jakżeś ty już upadł nisko,
Ty—dla którego o koronie śniłam!
Gaumata, jakżeś głupim panom służysz,
Jeźli ci oni wierzą!..

Gaumata (*z najwyższą wściekłością*)

Ha! dosyć tego!

(*wołając na lewo*)

Hej! hola! stróże!

(*Z lewej wbiegają zbrojni*)

(Gaumata *czyni ruch, jak gdyby zbrojnym chciał wskazywać na Aftanę; po chwili walki wewnętrznej opuszcza rękę, mówiąc*)

Nic—precz!—nie wołałem!

(*Zbrojni odchodzą — chwila milczenia — do Aftany*)

Mów!

Aftana.

Już skończyłam... Nie powiem nic więcej,
Boś ty słów moich nie wart... Jedno tylko
Trzeba byś wiedział... Jestem szczerą... słuchaj—
Przyszłam tu mścić się nad tobą...

Gaumata.

Aftana!

Aftana.

Słuchaj—tylekroć wmawiałeś ty we mnie,
Że Boga nie ma żadnego,—że człowiek
Najdoskonalszem jest stworzeniem w świecie —
Że sami musim się o siebie troskać,
Że złe i dobre tylko naszą sprawą,
Nie żadnych bogów, których nie ma wcale!
Ha — uwierzyłam nareszcie!... Wszak Medja

Zginęła... ojciec mój stary w Cyrusa
Więzieniu umarł... braci na krzyż wbito,
Jak wbito wielu innych mężnych medów;
Ale tyś łatwo ocalał, Gaumata,
Tyś jeden bowiem, braci rzucił zdradnie!...
Ty więc, coś winien tysiąc razy zginąć,
Ty żyjesz jeszcze!... Ha! a mnie mówiono,
Że Auramazda wielki za złe karze!
Czekałam... chciałam, by on cię ukarał...
Czekałam próżno... Boga nie ma... dobrze —
Więc ja mam prawo zemścić się nad tobą!

G a u m a t a.

Ty??

A f t a n a.

Nie za Medję—nie za nich – za siebie!
Za łzy, co piękność z moich lic spłukały —
Za to, żeś rzucił mię z małem pisklęciem,
Jak chyba szakal porzuca szczenięta —
Za to, że dziecko to dziś nie ma ojca,
Bo ja mu nie chcę powiedzieć, że ojcem
Jego... Gaumata — za to mścić się pragnę!
Patrz—szczerą jestem!.. Weszłam tu podstępem,
Wdarłam się w łaski królewnej—dlatego,
Ażeby ciągle być przy tobie, aby
Śledzić twe czyny... Już cię podpatrzyłam—
Już ci przeszkadzać poczęłam!

G a u m a t a (*w najwyższym gniewie, zaciskając pięście*)

Kobieto!!

(*mierzy chwilę oczyma Aftanę.—Milczenie.—Poczem Gaumata znów opuszcza ręce, wybuchając szyderskim śmiechem*)

Ha, ha! Aftana — żal czuję do ciebie,
Iżeś mię takim osądziła karłem,
Ty — któraś winna była znać mię trochę!
Ślepa, ty sądzisz więc, że taką kruchą
Moja budowa, na której się wspieram,
Iż ją już lada nędzny podmuch wiatru
Zdoła obalić?... Siedmkroć szalona!
Spróbujże wrzasnąć, żem zdrajcą — sto głosów
Okrzyknie: Kłamstwo!.. Sprobuj mię oskarżyć,
A dwieście głosów odpowie, że jeźli
Gaumata nie jest cnotliwym, to chyba
Cnotliwych brakło zupełnie!.. Ty, szkodzić —
Mnie — mnie, Gaumacie? Językiem?

A f t a n a.

O! język
Straszną jest bronią—a i na źdźble marnem
Można się potknąć... Tak, słuchaj... królewska
Nagroda minie cię — jam to sprawiła!
Elsana—wie już o wszystkiem!

G a u m a t a.

Zapóźno!
Nim noc zapadnie, będzie króla żoną —
Sam Bardja odda ją Kambyzesowi —
Sam!—ha! zgadujesz... mój zamiar... Okrutny—
Nieprawdaż? ale bogi wielkie—wcale
Nie mszczą się na mnie, że pobożność głupca
Bardji, na swoją korzyść wyzyskałem —
Poczciwe bogi!

(*przeciągły odgłos rogu*)

Słuchaj — o! radości,
Aftana, wiesz ty, co głos ten oznacza?
To Bardja wyszedł na spotkanie króla
I trwa w zamiarze zbawienia Persidy
Od głodu—moru—od wszystkiego złego —
Ofiarowaniem dla króla kochanki
Swojej najmilszej — i to ja sprawiłem!

(*na murach okalających dziedziniec pałacowy, ukazują się zbrojne straże*)

Patrz—straż na murach ruszać się zaczyna,
Znak to, że król już ze swoim orszakiem
Wjechał do miasta...

(*odgłosy bardzo oddalonej wrzawy i okrzyków za sceną; odgłosy te powtarzają się od czasu do czasu i stają coraz wyraźniejsze*):

Słyszysz ten jęk głuchy?
To króla wita lud — to król przybywa,
Aby Gaumatę nagrodzić!.. Cóż teraz?
Czy jeszcze będziesz grozić mi, Aftana?..

A f t a n a

(*cofając się mimowolnie i zakrywając oczy dłonią*):

Straszny!!

G a u m a t a.

Ha! chciałaś widzieć, czy urosłem—
Masz mnie!...

(*Chwila milczenia — zmieniając ton mowy i przybliżając się cokolwiek ku Aftanie*)

Lecz jeszcze dwa słowa, kobieto...
Jak widzisz, ludzkie ważę w rękach życia—
Ale, Aftana, mnie czasem potrzeba
Czegoś—ja nie wiem, jak to nazwać—czegoś,
Czembyś mi mogła być...

A f t a n a.

Precz—precz, odemnie!

G a u m a t a.

Aftana, możesz mię winić o wszystko,
Co tylko z wrzącą napłynie ci myślą,
A ja odpowiem: prawda!.. Lecz, Aftana,
Ty coś pierś moją czuła przy swej piersi,
Powinnaś wiedzieć, żem ja inną drogą
Pójść nie mógł, tylko taką, jak poszedłem!
Czuję pytanie na twych ustach... Wiedzieć
Chcesz, gdzie ja idę i po co? Ja nie wiem—
Nie wiem—przysięgam ci—dziś nie wiem jeszcze—
Aftana, ze mną pójdź!

A f t a n a,

Nigdy!

G a u m a t a.

Aftana,
Słuchaj mię—kilka wiosen już minęło
Odkąd cię nie mam... Przez te wszystkie wiosny
Nie znałem innych kobiet—nie myślałem
O sobie—szedłem za głosem tam z zewnątrz,
Który mi kazał iść... Patrz—gdzie dziś jestem!
Dziś gdybym tylko choćby palcem skinął- -
Mógłbym mieć siedm i dwadzieścia kobiet,
Coby mi piersi swe oddały białe—
A pytaj, nie mam nikogo!.. Aftana,
Nie powiem, że cię miłuję jak dawniej,
Bo patrz—jam dzisiaj już nie młody—i twe
Lica już zbladły... Lecz słuchaj, kobieto —
Podobasz mi się ty, że jesteś twardą
Jak ja... Po latach dziewięciu przychodzisz
Mścić się, zaprawdę, to nie każda dziewka
Potrafi... W tobie widzę własne moje
Kształty kamienne—więc mówię: chodź ze mną!

A f t a n a.

Gaumata!

G a u m a t a.

Dziecko to nasze, któremu
Nie chcesz wymienić dziś imienia ojca —
Obaczysz—będzie kiedyś błogosławić
I mnie i ciebie—tylko ty chodź ze mną!
Bo słuchaj—im mię droga moja wyżej
Prowadzi, tem mi samotniej i puściej...
Ja będę dziecko to kochać, Aftana—
I strzedz je będę jako swej źrenicy,
I ono wzajem mię pokocha—słyszysz?
Chodź zemną!

A f t a n a.

Bogi! co czynić?... Gaumata...

G a u m a t a.

Aftana!

A f t a n a.

Nie... nie! Nie mogę ci wierzyć!
Puszczaj mię, puszczaj!

(*wyrywając się z rąk Gaumaty i wybiegając*)

Tak, to ojciec mego
Dziecięcia.... Serce ty słabe, zamilknij!

(*wybiega na prawo*)

G a u m a t a (*sam*)

Poszła... Ha, piesby mi nie był wierniejszy —
Jej mi potrzeba było tylko jeszcze!...
Wszak każda chata ma swojego stróża,
A ja dotychczas nawet psa nie miałem
Przy sobie... Ona, musi być znów ze mną —
Ona — nikt inny...

(*woła na lewo*)

Hola, Charsis!

(*Charsis wbiega*):

C h a r s i s.

Panie!

G a u m a t a (*wskazując na Aftanę*).

Widzisz kobietę tę?... idź za nią...
Gdzie wejdzie... czekaj... śledź... ona ma dziecko—
Chłopca—o! może takiego—nie, większy,
Większy już pewnie!.. Spiesz, czyń co chcesz, byleś
Wieczorem dziecko to przywiódł tu skrycie —
A gdy już u mnie będzie—wtedy matce
Powiesz, żem ja je kazał zabrać... Słuchaj —
Ty, Charsis, znasz mnie—wiesz—umiem nagradzać —
Idź więc—spiesz—prędzej!

(*Charsis wybiega na prawo za Aftaną*)

Czy ojciec się we mnie
Zrodził—czy kupiec tylko, który widzi
Korzystny towar?...

. . . .

(dok. n.)

Kronika Paryzka.

Paryż, d. 28 Lutego 1881 r.

Znaczny już kawał czasu upłynął od chwili, kiedy nie miałem sposobności w pogawędkach moich, które łaskawie przez Was, czytelniczki, przyjęte zostały, podzielić się wrażeniami, jakich tu dzień każdy pełno przynosi.

Wyznaję, że w opóźnieniu tem dużo mojej jest winy, ufny wszakże w cnotę darowania uraz, która w dyademie narodowych zalet Waszych błyszczy najjaśniej, liczę, że przebaczenie uzyskam, a łaskawość ta Wasza będzie dla mnie nieustającym bodźcem, żeby żaden fakt z życia tutejszego, godny uwagi ludzi myślących i będący bodajby drobnym objawem nieustającej pracy ducha powszechnego nie został pominięty. Będzie to do wykonania tem łatwiejsze, że redakcya „N. Mód Paryzkich,“ chcąc dla czytelniczek swoich zapewnić wiadomości o ile można najświeższe ze wszystkich stron świata, korespondencyi z Paryża zażądała miesięcznych.

Systematyczność stanowi podstawę każdego zajęcia, tem więcej zaś sprawozdania z życia danego społeczeństwa nie moga być dorywcze.

Sprawozdawca wreszcie musi mieć przed sobą tę pewność, że w pewnych terminach będzie miał możność nazbierany materyał uporządkować, wybrać ważniejsze jego momenta, wyciągnąć z nich prawdziwą naukę i pożytek, i jako pojedyncze objawy życia kolejno je przedstawiać.

Znaliśmy w kraju jednego archeologa, który z namiętnością i zapałem młodzieńczym studyom epoki kamiennej się poświęcał. Nie zważając na upał i znój pod promieniami letniego słońca, w olbrzymi kosz zaopatrzony, zbierał po swojej drodze wszystkie krzemienie, jakie pod oczy jego podpadły.

Z zadziwieniem pytaliśmy go, dlaczego zadaje sobie tyle trudu, dla czego zamiast zwracać swą uwagę jedynie na ciekawsze okazy, każdy podły kamyk do kosza swego zabiera?

Zdumiała nas jeszcze więcej odpowiedź jego, kiedy nas objaśnił, że robi to w celu oszczędzenia trudu i pracy.

I rzeczywiście, po bliższem objaśnieniu uznaliśmy zupełną słuszność jego twierdzenia. W miejscach, w kamienne zabytki naszej przeszłości obfitych, na cmentarzyskach pogańskich i żółtych wydmiskach piaszczystych, stopa sumiennego poszukiwacza pokilkakroć przebiegać musi jedne i te same ścieżki.

Krzemyk raz podniesiony i jako nie mający żadnej historycznej wartości oceniony, skoro go rzucim nazad na ziemię, za każdem nowem tu naszem przejściem będzie pociągał naszą uwagę, będzie nas skłaniał do nachylania się nowego i do próżnego rozpatrywania tego, cośmy już pokilkakroć rozpatrywali. Na stratę zaś czasu nie narazi nas wcale, jeżeli raz z innemi wpadnie do kosza i przy uczonej klassyfikacyi jako przedmiot bez wartości na śmiecisko zapomnienia wyrzucony zostanie.

Kronikarz i sprawozdawca sumienny, równie jak ten archeolog postępować powinien.

Na kartki *carnet'a* jego, każdy objaw obserwowanego życia wchodzić powinien, a dopiero kiedy zbliży się termin przerobienia materyału tego na pożytek czytelników, jedne fakta, dzięki

łaskawości prassy, uzyskują światło, drugie nielitościwie spychają się w otchłań zapomnienia.

Tem zaś baczniejszym i pilniejszym powinien być sprawozdawca z życia, że kiedy archeolog liczyć może na to, że pominięty kamyk odrzuca, w życiu, które jest ruchem ciągłym, wypadek raz przez obserwatora niepochwycony — ginie bezpowrotnie. Zaniedbanie zaś i brak ciągłego a systematycznego dla sprawozdań odpływu, wyradza w danej chwili takie bogactwo treści, że prawdziwy *embarras du choix* następuje.

W położeniu podobnem znajdujemy się dzisiaj.

Wszakże, ponieważ ostatnie korrespondencye nasze, kładły główny przycisk na kwestyę kobiecą we Francyi, na tem więc samem tle staramy się ponawiać korrespondencyę dzisiejszą ze spostrzeżeniami, jakieśmy zanotowali dawniej.

Powiedzieliśmy, już zdaje się stanowczo, że kwestya kobieca we Francyi, pomimo takich obrońców jak *Girardin* i *Dumas*, daleką jest od poważnego a właściwego jej pojmowania. Walka o byt, o pracę, o stanowisko niezależne w społeczeństwie, nie traktuje się tutaj seryo; owszem widzi się w niej tylko śmieszną jej stronę i zwolenników emancypacyi nie zwalcza się argumentami poważnemi, ale kalamburem, dowcipem, żartem, często bardzo podejrzanej wartości.

Szczególniej książka Dumasa „*Les femmes que votent*“...., z której Wam szczegółowo zdawaliśmy sprawę, wywołała tu bardzo wiele hałasu. Obyczajem jest w Paryżu, że z końcem roku większość teatrów przedstawia tak nazwane: *Revues*, gdzie wszystkie kwestye przez rok cały, Paryż i Francyę poruszające, znajdują odgłos i ocenienie.

Rozumie się, ponieważ *vaudeville*, żart, dowcip i satyra stanowią główny charakter narodowej sceny francuzkiej, aktorzy więc tu wyłącznie komiczną rozwijają stronę.

Revues takich sześć współcześnie długiem życiem cieszyło się na afiszach paryzkich. Ważniejsze i wybitniejsze z nich *Rataplan* (w Varietées), *Bastille-Madelaine* (w Folies Parisiennes), *Gil-Blas* (w Folies Mariquy) i t. d. nie pominęły wcale w sprawozdaniu swem ruchu, jaki się w kwestyi kobiecej objawił. Skoro jednak mówiono o „femmes qui votent“..., jako stanowczą decyzyę podawano odpowiedź: „*Les femmes sont faites pour une autre chose*“..., a publiczność podobne rozwiązanie tej kwestyi, zawsze jako najstosowniejsze uważała i dowcipy podobne okrywano oklaskami, a między cieszącemi się — najwięcej było kobiet.

Powiecie może, że dla skonstatowania tych opinii, jedynie obserwacya *demi-monde-u* mi wystarcza. O! zapewniam Was, że w sferze tej spostrzeżeń socyalnych nie czerpię.

Wejdźmy jednak do przystępnych wybranym tylko salonów starej arystokracyi z *faubourg S-t. Germain* lub gościnniejszych trochę pałaców *Chaussée d'Antin*.

Pora karnawałowa często i niepowołanym nawet drzwi otwiera, a w wirze zabaw, oko obserwatora więcej na siebie zwracające uwagi, pilniej spostrzeżeniom oddać się może. Spójrzmy na kobiety, które się tutaj gromadzą.... Skromność, wstydliwość do bojaźliwości posunięta i przesadzona nieraz pruderya—wyróżniają panny poczciwych domów naszych od innych kobiet.

Zapewniam Was wszakże, że każda dziewica nasza najskromniej wychowana, lwicą prawdziwą i emancypantką wyda się jeszcze w porównaniu z margrabianką lub hrabianką z „faubourg St. Germain, stanowią one—korzystam tu z pewności, że się to pismo w ich ręce nie dostanie—prawdziwy typ skończonych... gąsek. Z sukienkami zapiętemi aż po samą brodę, z przymrużonemi oczami i rączkami złożonemi w pierożek, przesuwają się one jak cienie w powolnych krokach kadryla. Polki, walca, żadnego kręconego tańca, dobrze wychowana panna nie tańczy, mama bowiem, a jeszcze wprzódy surowa przełożona, zadecydowały, że to jest *choking*.

Jak w pretensyonalnych salonach Waszych francuzczyzna, tak tu angielszczyzna jest w ciągłej modzie. Rozmowa z temi pannienkami — to Syzyfowa praca. *Tak*, *nie*, uzyskasz w odpowiedzi dosyć często, jeśli jednak zajdzie potrzeba obszerniejszej eksplikacyi, najczęściej milczenie w zamian jej odbierasz, a błagający wzrok interlokutorki zwrócony w stronę mamy lub cioci, najwymowniej ci wskazuje, że natarczywość twoja, obleżeniem do wytrzymania trudnem się staje.

Czy więc takie kobiety w imię emancypacyi walkę rozpocząć mogą? Niktby chyba losów jej nie powierzał w ich ręce.

Nie tu jednak koniec. Mamy przed oczami dalsze transformacye tej gąsienicy, która białą sukienkę panny— na powłóczystą, mieniącą się suknię mężatki zamieniła, na której czole zamiast z dziewiczą skromnością splecionego warkocza połyskują brylanty.

Kobiety te wesołe, swobodne, pewne siebie, wsparte na ramieniu pięknych panów, rozrzucają wokoło blaski swych oczu i iskry dowcipu. Widzisz w nich siłę, potęgę i przypuszczasz, że może między niemi kwestya kobieca prawdziwych znajdzie obrońców. Gdzie tam. Szczęśliwe one z uzyskanej przez zamążpójście wolności, cieszą się nią, igrają i tylko o hołdy i tryumfy własne troskliwe — egoizm i... używanie stawią najwyżej — szczęście, jeśli pragnienie jego do upadku ich nie popchnie.

Jeśli posuniemy się dalej, jeśli wejdziemy w środek poważnych matron, wysiadujących kanapy, to tu znowu plotki, dewocya i nietajona przeciwko Respublice nienawiść — pochłaniają wszystkie siły. Stare damy rade reformować państwo, ale zmiany stanowiska kobiety nie pragną.

Jeśli od mass arystokratycznych i próżniaczych zejdziemy do pracowitej burżoazyi, to tu może więcej jeszcze spotkamy konserwatyzmu.

Potrzeby kobiet tej sfery są bardzo skromne. Praca, czy za kontuarem, czy w domu, czy z igłą wypełnia wszystkie ich chwile, a czasem teatr wieczorem, w niedzielę obiad gdzieś poza domem, lub zabawianie się ploteczką na koszt bliźniego, oto ich wszystkie potrzeby.

Pozostaje lud, ów *peuple souveraine*, jak go dziś wszyscy schlebiający mu dla swych własnych interesów zowią.

W tej sferze kobiety zgięte pod brzemieniem cięzkiej pracy i często pod razami mężów, dają krajowi bogactwo—zbierając *sou* po sousie, albo coraz nowemi istotami, zasilają liczne tu zawsze zastępy zepsucia. Nad to,—„peuple souveraine“ nic więcej nie daje.

Zrozumiecie łatwo, że w warunkach takich, które nic a nic przesadzonemi nie są, kwestya emancypacyi kobiet z właściwego pojmowana stanowiska, nie może znaleźć odpowiedniego poparcia. Przedstawienie wszakże tej sprawy nie byłoby wyczerpującem, gdybyśmy milczeniem pominęli imiona kobiet takich, jak *Louise Michel*, *Humbertine*, *Auclert*, *Paule Minck*, *Cadol* i *Ferré*. *Obywatelki* te chcąc popierać kwestyę kobiecą, z bardzo mylnego wyszły stanowiska. Stanęły po stronie skrajnych radykalistów i napadając na religię, rząd, prawo, formy społeczne, chcą wszystko burzyć, nie pytając wcale, czy z gruzów korzystnego co dla ludzkości wykwitnie. Nie należymy do zacofanych konserwatystów wcale, nie uważamy za niestosowne, że rząd francuzki dzisiejszy, rozwijając logicznie ideę wolności, k o m m u n a ł o m do Paryża wrócić pozwolił, nie taimy wszakże, że kobiety n a f c i a r k i, czemś okropnie wstrętnem dla nas się wydają.

Najzdolniejsza pomiędzy niemi *Michel*, z tryumfem w powrocie z deportacyi witana i słowami i czynami swemi nieustające krzywdy porządkowi społecznemu wyrządza, tem zaś rola jej i jej satelitów jest smutniejsza; że wśród najniższych warstw społecznych, ziarna społecznego rozkładu sieje, że najbrudniejsze namiętności porusza.

Uczęszczaliśmy pilnie na zebrania, gdzie wymienione „damy“ z namiętnością w szał przechodzącą, przeciwko Bogu, przeciwko rządowi, przeciwko familii występowały, i nie taimy, że myśli, słowa, giesty, postawa i zasady tych apostołek—smutkiem nas napełniały i krew oburzenia i wstydu napędzały do serca.

Daleko jeszcze zapewne ludzkości do bezwzględnego szczęścia, przypuszczamy jednak, że zamiast zbliżać, oddala się ono, jeśli kobieta, która jako kochanka, jako żona, jako matka, zamiast idealnego posłannictwa swego — rany społeczne rozdraźni i śmiechem szyderstwa każdą pracę okryje. Jeśli publiczna działalność kobiet w ten ma się zamanifestować sposób, to stokroć bardziej pożądaną jest rzeczą, żeby one z dotychczasowego kółka swego nie wyszły.

Słuchając retorycznych elukubracyj tych politycznych agitatorek, chcieliśmy koniecznie wyszukać w nich jakieś zasady — jakieś cele. Niestety,—niepodobna ich znaleźć, chyba.... cel jedyny—zarobek, każde bowiem zebranie składało się przynajmniej z trzech tysięcy słuchaczy, a cena wejścia na pół franka się naznaczała. Smutne przypuszczenia, a zdaje się jedynie prawdziwe.

Smutniejsze wrażenie jeszcze robiła ta okoliczność, że stary *Blanqui*, aż do ostatnich chwil swego życia, za parawan *obywatelkom* służył, na wszystkich bowiem zebraniach prezydował. Nie należymy do bezwzględnych wielbicieli tego *męczennika wolności*, jak go tu niektóre stronnictwa zwały; nie mogliśmy się jednak obronić przed smutnem wrażeniem, kiedyśmy posiwiały w więzieniach włos jego, wystawiony jako „sztandar“ najprzewrotniejszych idei widzieli.

Smierć Blanqui'ego pozbawiła socyalistki francuzkie wygodnego szyldu i zdaje się, że obecnie *Rochefort*, popychany nienawiścią do rządu, patronat nad niemi obejmie.

(dok. nast.)

Gawędy botaniczne.

Przez

WINCENTEGO NIEWIADOMSKIEGO.

ROZDZIAŁ II.

Anatomia roślinna.

Świat jestestw nieskończenie małych. — Mikroskop. — Komórki.—Chlorofil.—Mączka.—Jądro komórkowe.— Tkanka roślinna. — Szparki. — Jaką rolę odgrywa komórka?

Wypada nam z kolei przystąpić do anatomii to jest, do rozbioru rośliny, aby poznać wewnętrzną jej budowę, i to bez pomocy żadnego, skomplikowanego narzędzia.

Prosta lupka, szczypczyki, scyzoryk i kilka igieł, wystarczą do zbadania organów roślinnych, ale tych tylko, które dostrzedz można gołem okiem.

Wszelako takie badanie byłoby niedostatecznem; cały świat bowiem jestestw niewidzialnych, nieskończenie małych, pozostałby dla nas nieznanym.

Pierwszem pragnieniem dziecka, które pozyskało nowe cacko, jest poznać: „*co to tam w środku.*“

Otóż i my obdarzeni jesteśmy podobną ciekawością, zaiste uzasadnioną. Naśladując dziecko paproszące zabawkę, rozedrzejmy naskórek (epidermis), czyli tkankę powlekającą roślinę, aby poznać: „co to tam w środku“ tego kwiatu, tego listka, łodygi lub tkanki — jednem słowem: co mieści się wewnątrz tych wszystkich organów, których tylko powierzchnię widzimy.

Wszelako proste nasze środki posługujące nam do tego badania, będą wielce niedołężnemi. Na pierwszym kroku napotkamy tajemniczą głębię, której dna nikt dotąd jeszcze nie zdołał wysondować, — głębię, której wykrycie zawdzięczamy mikroskopowi.

Między naszym wzrokiem a wszechświatem atomów, umieśćcie, czytelniczki, kilka szkiełek, a przedstawi się Wam obraz iście zdumiewający, fantastyczny. Dostrzeżecie wówczas rozpościerające się przed wami rozległe oceany i szafir przepyszny nieba, w krajobrazach odwróconych, jakich niemogłaby wymarzyć najpłodniejsza wyobraźnia, tak są piękne i wspaniałe.

W tem to zaczarowanem królestwie, w skutek

jego nieskończonej maleńkości, utajonej przed naszem okiem, odsłania się świat nieskończenie wielki. W nim znachodzimy rzeczywiste pojęcie przestrzeni bez końca,—liczby bez granic,—ilości bez miary. Podzielność materyi przechodzi nasze pojęcie, — rzeczywistość staje się marzeniem. Wszelki wymiar przeistacza się, — wszelaki stosunek zburzonym zostaje.

To co dostrzegamy na każdym kroku, jest nową zdobyczą wiedzy w dziedzinie tajemniczego świata.

Odpowiednio do rozmaitego układu soczewki dolnej mikroskopu, dostrzegamy strugi olśniewającego światła, lub bezdenne, ciemne otchłanie.

Wszystko to jest złudzeniem, lecz złudzenie to oddziaływa na nas jakby było rzeczywistością.

Czyż pojęcie wielkości nie jest względnie biorąc, złudzeniem?

Obok niepojętej podzielności materyi, mikroskop odsłania nam świat jestestw, które zdają się rozpraszać w najmalejsze atomy, dochodzące aż do nicości.

Wiadomo do jakich zdumiewających odkryć doprowadził mikroskop geologię. Toż wapienie, kreda, łupki szlifierskie i wszystkie krzemionkowe warstwy ziemne, prawie wyłącznie złożone są z muszli zwierząt mikroskopowych, z których wyformowały się całe góry. Wiadomo, że jestestwa te były wymoczkami, których miljardowe skupienia wytworzyły większą część Rossyi, Polski, Danii, Szwecyi, południowej Anglii, północnej Francyi, Grecyi, Sycylii, północno-zachodniej Afryki, Arabii i wszystkie pokłady kredowe.

Istnieją wodorosty zwane *okrzemkami*, tworzące w skutek rozległych skupień, najgłębsze ławice państwa roślinnego. Maleńkość ich jest tak dziwną, że 10,000 ich osobników, można uszeregować na długości jednego cala; — w stopie sześciennej pomieści się ich 70,000,000,000, a na szalce potrzeba ich ułożyć około 1,200,000,000 dla zrównoważenia ciężaru jednego grama!

Otóż, faktem jest niezaprzeczonym, że te nieskończenie małe jestestwa roślinne wyformowały warstwy dwadzieścia stóp grubości mające, w Ameryce północnej, czterdzieści stóp w Luneburgu, i że Berlin zbudowanym jest na podobnym okrzemkowym pokładzie, mającym przeszło sto stóp w warstwie najgłębszej.

Najzuchwalsza wyobraźnia nie mogłaby wytrzymać ani pojąć tak olbrzymich skupień życia organicznego! Zastanówcie się nieco, czytelniczki, nad tem, ile to potrzeba było pancerzy wymoczków do wytworzenia znacznej grubości skorupy ziemskiej, gdy cienka powłoczka kredy, pokrywająca wasz bilet wizytowy, reprezentuje szczątki przeszło 100,000 muszli wapiennych.

Dnia 26 Stycznia 1843 roku, powiada Schleiden, niezliczone tłumy ludu zgromadziły się na skale Rund-Down, w blizkości Douvres, oczekując z ciekawością, połączoną z głębokim niepokojem, skutku kolosalnego przedsięwzięcia, na jakie nigdy jeszcze dotąd nie odważył się umysł ludzki.

Chodziło tu o zwalenie góry i rzucenie jej w morze.

Kilka lat zabrały same przygotowania, jako to: kopanie rowów, galeryj, zakładanie min i t. p.

Olbrzymia baterya galwaniczna posłużyła do zapalenia 185 centnarów prochu!....

Skała zachwiała się, pękła i runęła w topiele morza.

Przeszło 20,000,000 centnarów wapienia przedstawiała jej massa—a przestrzeń piętnastu akrów ziemi, pokryła się warstwą szczątków tej skały, dochodzącą dwudziestu stóp grubości!

I przeciw komu rozwinięto tak energiczne przygotowania? Jakaż to była góra, wyrwana ze swych posad?

Góra ta była zbiorowiskiem muszli; — wytworzyły ją szczątki jestestw mikroskopowych, których kilkutysiączne skupienie, może zniszczyć dziecko—za słabym naciskiem palca!

O tem nas naucza mikroskop.

Na schyłkn XVI wieku wynaleziono to cudowne narzędzie, posługujące do prac naukowych ludzkości.

Twórcą jego był optyk z Middeburga, Zacharyasz Jansen, około 1590 roku.

Pierwszy użytkował z tego narzędzia Leeuwenhoeck, po nim Swammerdam — następnie Amici, Ehrenberg, Browgniatr, Mirbel, Dutrochet, Dujardin, Brown, Raspail, Hannover, Pouchet, Virchow, Lebert, Follin, Robin i wielu innych, dokonywając zdumiewających odkryć.

Pochodzenie mikroskopu jest wielce skromne. Wiadomo, że za czasów Pliniusza i Seneki, stanowił on poprostu kulę wydrążoną, napełnioną wodą.

Z dzisiejszemi przepysznemi przyrządami tego rodzaju, pochodzącemi z zakładów: Rossa, Haatnacka, Nacheta lub Chevaliera, nie mogą się nawet porównywać mikroskopy z XVI i XVII stulecia.

Mikroskop (słowo złożone z dwóch słów greckich: *micros*, mały, i *scopeno*, patrzę) jest narzędziem optycznem, powiększającem obrazy badanych przedmiotów.

Posiadamy dwa rodzaje mikroskopów: *prosty i złożony*.

Mikroskop prosty składa się zwykle z jednej lub z kilku soczewek, powiększających obrazy przedmiotów, i przesyłających je wprost do naszego oka.

Stopień tego powiększenia zawsze zależy od wypukłości soczewek.

Jakkolwiek budowa mikroskopu prostego opartą jest na jednej zasadzie, to jednak może on przedstawiać przeróżne kształty i układy, odpowiednio do tego, czy ma służyć do powierzchownego, czy też do dokładniejszego badania.

W pierwszym razie nazywa się *lupą*, albo *szkłem powiększającem* i służy do ręcznego użycia; w drugim razie mikroskop składa się z podstawki opatrzonej zwierciadłem i rozmaitemi przyrządami dodatkowemi.

Rodzaje lup są liczne. Najprostsze składają się z jednej soczewki z obu stron wypukłej, oprawnej w drzewo, róg lub w inny materyał. Najwygodniejszem wszakże i najczęściej używanem narzędziem, jest złożone z dwóch lub trzech lup, które w skutek nadanego im układu, mogą powiększać obrazy przedmiotów w stopniu rozmaitym.

Użytkowanie z mikroskopu prostego sięga odległej od nas epoki. W końcu XIV wieku zaczęto wyrabiać pierwsze soczewki.

Dwóch włochów: Eustachy Divini w Rzymie, i Campani w Bolonii, słynęli z wyrobu tych narzędzi.

Później w 1665 roku, Hartsoeker bawiąc się przesuwaniem przez płomień świecy pręcika szklannego, spostrzegł, że koniec tegoż zaokrąglił się.

Zjawisko to było dlań błyskawicą, z jakiej zawsze rodzą się wielkie wynalazki.

Hartsoeker odbył tysiączne próby i w końcu otrzymał wcale niezły mikroskop, z kulek szkła stopionego, które pomieścił między dwiema małemi blaszkami ołowianemi. Z tem to narzędziem, tak prostem, z którem potrzeba było ręcznie manipulować, Leeuwenhoeck, Swammerdam i Lyonnet, dokonali zdumiewających odkryć, unieśmiertelniających ich imiona.

Zrazu użytkowano tylko z soczewek z obu stron wypukłych, które posłużyły do zbudowania mikroskopu prostego Wilson'owi i Cuff'owi. Przyrząd tego ostatniego, udoskonalił Raspail, i z tego powodu mikroskop prosty nosi jego nazwisko.

Wiecie już czytolniczki, że mikroskop prosty składa się z kilku soczewek, przenoszących *bezpośrednio* do oka, powiększony obraz przedmiotu.

W mikroskopie złożonym, przeniesienie to nie następuje już wprost, *bezpośrednio*, gdyż obraz powiększony przez przyrząd soczewkowy, zwany *objektywną*, przedstawia się w oku dopiero za powtórnem powiększeniem przez drugi przyrząd zwany *Wzroknikiem.*

(d. c. n.)

WIEŻA NA DAGÖ.

NOWELLA

A. JÓKAI'A,

przekład

A. CALLIER.

(Ciąg dalszy).

Po pierwszej robocie następowała często druga i trzecia tejże samej nocy, zwodnicze światło z trzech stron częstokroć zwabiało wszystkie okręty: koniecznie musiały one wpaść w zasadzkę. Na dwie godziny przed brzaskiem dnia, gasił mistrz światło chemicznego pieca, by czasem jaki okręt przy świetle dziennem, nie zawinął do jego siedziby. Z ofiar jego ani jedna nie uchodziła żywo. Jeśli to był mężczyzna, zabijany bywał natychmiast, kobiety zachowywano ku większym męczarniom.

Weszli w sojusz z piekłem i morzami ze wszech ziem, na niebios urągowisko.

To były owe czary, za pomocą których ze skał wyprowadzać umieli chleb, mięso, wino i owoce. Rozbite okręty zapełniały komory i magazyny wieży na Dagö wszystkiem tem, co sercu człowieka może być miłem, a równocześnie napełniały skał przepaści tem, co ludzkiemu sercu jest ponad wszystko najmilszem, kośćmi i czaszkami jego bliźnich.

V.

Jak przepowiedział był właściciel wieży na Dagö, tak się też stało. Nadszedł rok głodu dla wyspy. W samotności swej wieżycy wciąż on naradzał się z duchami owej wielkiej żyjącej istoty, którą on zwał piekłem, a którą uczeni zwą *Gaea*—ziemia. A demon ziemi istotnie piekła miewa kaprysy. Między ziemią i jej wybrańcami a człowiekiem, tworem niebios, wiekuista toczy się walka. Ziemi podoba się, by swobodnie rozrastały się chwasty: mak polny i bławatki są jej ulubieńcami a człowiek zmusza ją, by wydawała dla niego czystą pszenicę. Demon ziemi otacza miłością wszystko, co dzikie, faworyzuje instynkta zwierzęce; człowiek zadaje mu gwałt narzucając swe uszlachetnione hodowlą płody i swoje cnoty. Jeżeli człowiek ma prawo spytać: na co Stwórca dał życie całym tym miliardom gąsienic i chrabąszczy, które niszczą jego owocowe drzewa; to niemniej chrabąszcz i gąsienica mają toż samo prawo pytania: czemu ziemia wydała niekształtne to dwunożne zwierzę, które n a s strząsa z drzew i rozdeptuje. Demon ziemi zaś nie jest przyjacielem ogrodnika lecz gąsienicy.

Pustelnik na wieży Dagö w swych studyach nie zapomniał i o słońcu. Dostrzegł on, że plamy i obwody słoneczne mają wpływ na pogodę. Pytał mórz, wichrów, z nich czerpał naukę, śledził wędrówki wielorybów i odlatującego ptastwa, zjawienie się północnej zorzy i gwiazd spadanie. Wszystko to powiedziało mu, że po gorących dniach maja, które w tym roku rozwój roślinności tak przyspieszyły, nastąpią nagłe przymrozki i że w noc jedną wymarzną na wyspie Dagö wszystkie zasiewy. Tak się też stało. I nie tylko na tej wyspie, ale w całej północnej Rosyi jeden przymrozek zniweczył całą nadzieję rolnika. Kapryśna pogoda przywiodła na kraj ową zarazę, co to się czepia tylko ubogiego: śmierć głodową.

W takich wypadkach wielkie, możne państwa, którym nie trudno o pieniądz, dopomagają sobie w ten sposób, że w innych krajach, których nie dotknęła klęska, zakupują zboże i sprowadzają je dla swoich ludów; ale maleńka, taka ubożuchna republika, jak wyspa Dagö, nie może tak łatwo złota i srebra wydawać na chleb dla swego ludu; tu się ratują rybami i serem. „Tego roku

nie będziemy jeść chleba," takie jest rozwiązanie trudności.

Odtąd też częściej jeszcze przychodziły stare wieśniaczki do wieży z swemi koszami kwiatów i prosiły, by w miejsce złota dano im lepiej trochę ziarna.

Raz przeto rzekł im pan wieży: — Widzicie, ja umiem z ziemi odrazu robić żyto lub jęczmień. Przynieście mi ziemi, ale dobrze tłustego czarnoziemu, a ja dam wam za to zboża. Jak wielkim będzie worek, w którym mi przyniesiecie ziemię, tyle otrzymacie weń zboża.

Początkowo, stare wieśniaczki na próbę tylko przynosiły czarodziejowi w małych woreczkach potrochu czarnoziemu, otrzymywały za to zawsze tyleż p s z e n i c y, której przedtem nie widziały nawet; wprędce jednak i młodzi, silni parobcy nabrali ochoty do tak korzystnego zamiennego handlu i nosić poczęli tak wielkie wory ziemi, jakie zdołali tylko udźwignąć.

Wprawdzie wielebny Jeremiasz Waimöner rzucał klątwę na tych wszystkich, co odprawiają do szatana pielgrzymki, i kochaną ziemię zaprzedają mu za przeklęte ziarno i przyrzekał im, że z tego zboża, wzrosłego na łanach piekieł, dostaną kołtuna i świerzbu, dusze ich zaś napewno dostaną się pod jarzmo piekła, ale groźba ta nic nie pomogła. Ludziom od owego zboża ani skóra nie oczerniała, ni im też zwinęły się włosy, widocznie więc i ze zbawieniem duszy wszystko będzie w porządku.

Boć to było najlepsze, najprawdziwsze zboże, jakie wydały kiedykolwiek łany Brandeburgii; rząd rosyjski polecił takowe zwozić do północnych portów, a w tym roku rozbiło się tyle zbożem ładownych okrętów pod wieżą Dagö, że nie wiedziano już gdzie złupione zboże składać. Dlatego rozdzielano je między mieszkańców wyspy wzamian za ziemię.

Ale na co duchowi zniszczenia potrzebną była ziemia?

Do tworzenia.

Był maleńki wąwóz skalisty na południowej stronie wieży, ze wszech stron osłoniony od wichrów; ten wąwóz kazał nasypywać ziemią, a potem zasadził go kwiatami. Tak założył ogródek.

Była ludzka istota w jego wieży, która znajdowała w kwiatach upodobanie.

A pozwalałaż religia piekła temu, co zaparł się Boga, by choć jednej ludzkiej istocie sprawił radość?

Toż widzimy, że nic na świecie nie ma doskonałego, wszystko jest wadliwem, wszystko chroma, nawet piekło. I szatana nawet oszukują jego zwolennicy, i ateizm ma swoją hipokryzyą.

Umiał wszelkie ludzkie uczucia wygnać z swego serca: to jedno w nim pozostało. Umiał wszystkie cnoty zamienić w będące ich przeciwieństwem zbrodnie. Tej jedynej nie mógł się zaprzeć, że pragnął sprawieniem radości odwdzięczyć się biednemu dziewczęciu, co mu uratowało dziecko, co wraz z nim podzieliło wygnanie, stając się dlań kochającą żoną, synowi matką najprzywiązańszą. Czuł wdzięczność dla niej.

Ależ to jest już herezyą przeciw religii piekieł! Dodatnie uczucie w dogmacie wszystko przeczącym.

Wdzięczność jest już przecież cnotą, tak blisko spokrewnioną z miłością.

Jakże dopuścić ją mogło zamienione w pana ciało? Wdzięczność jest już przecież tyranią duszy nad ciałem! A jeśli ciało jest władzcą, wówczas i jemu też przysługuje prawo myślenia; a w takim razie jego filozofia stanowi o kierunku czynów i uczuć. I jedyna ta sprzeczność w jego zasadach zburzyć może łatwo całą wieżę Babel.

I zburzy ją też niezawodnie.

Sprzysiężony z demonem zniszczenia człowiek, mimo wszystkiego nie był przecież w stanie zamknąć serca temu uczuciu. Z niezmiernym mozołem założył ogród, zakupowany za droższą cenę niż ogrody Semiramidy, a wszystko to dla prostej wiejskiej dziewczyny, która w tym Babilonie nienawiści, sama jedna była wcieleniem wszechpotężnej i świat cały utrzymującej... idei miłości.

Skoro ogród był gotowy i zasadzony wszystkiemi kwiatami wyspy, poprowadził wówczas przywódzca dziewczynę do drzwi owych, które dotąd były dla niej zamknięte, otwarł je i rzekł: „To twoje!" A kiedy dziewczyna z krzykiem radości upadła mu do nóg i rękę jego oblewając łzami przycisnęła do ust swoich, czyliż wówczas ów niewolnik, głupia dusza, nie wstrząsnął ścianami swego więzienia, rozumnego ciała, i nie powiedział czasem: „Nie jestże taka łza, taki okrzyk radosny stokroć słodszym, niż morze krwi, niż choralny jęk konających tysięcy znienawidzonych wrogów?"

Odepchnął od siebie dziewczynę i wbiegł coprędzej do swego laboratoryum, by dzieło zniszczenia prowadzić dalej.

VI.

Pewnego razu, kiedy piekło znowu święciło swój sabat, wszedł mały synek pana wieży do pokoju dziewczyny. Powracał z podziemnego kościoła. Twarz jego była dziwnie wzburzona. Kiedy dziewczyna spytała go co mu jest, szepnął jej cichuteńko:

— Coś mi tak jakoś dziwnie ściska serce, sam nie wiem co to jest? Tyle wiem tylko, że nienawidzę mego ojca.

Wówczas prosta, ograniczona dziewczyna brała w swe dłonie rączkę chłopczyny i starała się uleczyć go z tej okropnej, tak bolesnej choroby. Uczyła go jakim sposobem można równocześnie kochać i ojca i Boga, wówczas nawet, gdy przed obudwu nie nauczono dziecka nic, — prócz trwogi.

I co ojciec nocą spustoszył w duszy swego syna, to odbudowywała znów wciągu dnia prosta biedna dziewczyna.

VII.

Przez całe lat dwanaście jednako biegło życie mieszkańcom wieży. Uczestnikom tych mordów tymczasem pobielały włosy, kilku pomarło; liczba ich zmalała do czterdziestu. Nawet przywódzca z wieży na Dagö osiwiał zupełnie i zdał się starszym o lat dwadzieścia, niżeli nim był rzeczywiście.

W tym przeciągu czasu s z e ś ć s e t okrętów rozbiło się na skalistych wyspy Dagö ławicach, przyczem straciło życie ośmnaście tysięcy ludzi i poszedł w niwecz majątek około stumilionowy.

A wampir zemsty wciąż jeszcze był nie syty. Potok krwi, co płynął od lat dwunastu, nie zdołał jeszcze ugasić piekielnego płomienia co palił jego serce.

Wszyscy ci, których za jego wolą pochłonęły skał przepaści, byli dla niego całkiem nieznanymi ludźmi, nigdy nawet nie dowiedział się ich nazwisk. I nigdy też nie był obecnym ich traceniu.

Ale czego pragnął dożyć, o czem marzył wiecznie, to o tem, — by dostać w moc swoją tych, co go uczynili tak nędznym. Napotkać ich wreszcie raz w życiu — oko w oko; a potem nakarmić serce ich przekleństwy, ich rozpaczą, kiedy przed nimi grób otworzy. To byłoby ukoronowanie piekielnego dzieła!

Robota ustawała przez całe lato. Podczas krótkich, jasnych nocy letnich, podbiegunowych okolic, latarnie morskie są bezpotrzebne. Przez ciąg bezczynnych tych miesięcy, właściciel wieży kształcił swego syna, jak to czynią dobrzy ojcowie, we wszystkich umiejętnościach, które potężne duchy przyrody oddały ludziom na usługę. Obok tego uczył go robienia bronią, nie tak jak walczą rycerze, ale wszystkich sztuk i podstępów korsarzy i bandytów. Czasami brał go z sobą na łódkę między przepaści i ławy skaliste, by chłopiec uczył się być śmiałym bez granic, i zuchwale wyzywać niebezpieczeństwa. Częstokroć strącał go w wir morski z łodzi, i z początku, gdy widział że chłopczyna nie może sobie dać rady, rzucał się za nim i wyciągał go za włosy. Później już chłopiec nie potrzebował pomocy, sam umiał wypłynąć.

Raz, w późnej już jesieni dwunastego roku, rozbiła się o skały Dagö cesarska rossyjska kanonierka, w której kajucie między papierami znaleźli rabusie rozkaz admiralicyi, wydany do wszystkich dowódzców rossyjskich statków wojennych. Wciągu ostatnich lat dwunastu wydarzyło się tyle katastrof na Baltyku, a w szególności na przestrzeni między Farö i Gustavsvörn, z których nie zdołał ani jeden ich świadek ujść żywo, że ogólny krzyk oburzenia i trwogi zmusił nakoniec i władzę nawet do wyjścia z stanu apatyi.

Panowało przekonanie, że na tej przestrzeni musi gdzieś jakiś okręt korsarski napadać w nocy burzliwe statki, rabować je, następnie zatapiać a załogę w pień wycinać. Bo nie znajdowano nawet nigdy szczątków rozbitych okrętów. Zwykle też żeglarze, widząc zbliżającą się zatratę, krótką wiadomość o katastrofie, która ich spotkała, powierzają falom w zapieczętowanych butelkach, które następnie wpadają w ręce rybaków.

Ale tu, z sześciuset zatopionych okrętów nie pozostał i ślad najmniejszy. Tu musiały ludzkie dłonie być czynne. Szukajcie ich!

Każdy wojenny okręt, każda kanonierka otrzymała rozkaz śledzenia za zagadkowym niszczycielem.

Ach, jakże się śmiał apostoł demona, czytając ten rozkaz!

A więc zbliżają się już! Przychodzą sami, ci, których on tak wyglądał! Ha, przyjmie ich też gościnnie.

Jesień poczęła się strasznemi mgłami. Największe to niebezpieczeństwo dla żeglarzy na Baltyku, bo po przez mgły nie przedziera się światło morskich latarni i kierować się wówczas mogą tylko odgłosem dzwonu.

W taką noc chłodną a mglistą rozkazał pan wieży na Dagö—dzwonić „na mszę."

Dziś dla piekła istna wielkanoc. Po morzu krążą wojenne statki. Takiego brak właśnie jeszcze w przepaściach morskich pod Dagö. Mniejszych kanonierek, brygów, korwet—leży tam już niemało; pyszne to nory dla hydr i morskich potworów; towarzystwo trzymasztowca byłoby im wielce pożądane.

Na odgłos tego dzwonu umarłych, z dali, z morza odpowiedział dźwięk dobrze znany —to przeciągłe trąbienie długiego okrętowego rogu, który podczas mgły w odległości mil kilku słyszeć można.

Już się zbliżają!

Wprowadzeni są w błąd: zdaje im się, że do pewnej zmierzają przystani. O świcie będą już w domu!

— Niema Boga, coby ich mógł ratować!

A gdybyż był jednak?

Kiedy wedle coraz bliżej odzywającego się sygnału sądzić było można, że okręt o morską milę zaledwie odległy może być od wieży na Dagö, naraz podniosła się mgła w górę z nad poziomu morza—i z promieni wschodzącego słońca wystąpiły kształty liniowego okrętu.

Zarzucił on natychmiast kotwicę. Ze zniknięciem mgły, spostrzegli żeglarze niebezpieczne miejsce i wczas jeszcze powstrzymali bieg okrętu.

Tem samem przecie odkrytą zostawała i tajemnicza wieża na Dagö.

Okręt liniowy stał przed nią w odległości armatniego strzału. Był to rossyjski statek wojenny.

Natychmiast wywiesił flagę; poczem pan wieży również na powitanie wywiesił ze szczytu swej wieży odpowiednią chorągiew.

Wówczas spuszczono z okrętu liniowego wielką łódź i wsiadł w nią komodor z podporucznikiem i dwudziestu czterema majtkami i żołnierzami marynarki: wszyscy dobrze uzbrojeni.

Wiosłowali wprost ku wejściu skierowanemu na morze. Acz dobrze było ukryte, odkryli je przecież za pomocą doskonałych swych lunet. Umieli również przedostać się cało przez wszystkie przeszkody, przez skały i bałwany.

(d. c. n.)

Dla wiadomości Osób

na prowincyi zamieszkałych, które przysłać pragną miarę na fasony z bibułki, lub zamówienia na robotę w **naszej pracowni**, podajemy sposób dokładny brania miary.

Miara bierze się w następujący sposób:

1) Długość pleców od szyi do talii.
2) Szerokość pleców, gdzie się zaczynają boczki pierwsze w staniku.
3) Długość przodu od szyi do talii.
4) Szerokość piersi.
5) Objętość w gorsie, t. j. przeprowadzić miarę pod pachami przez całą figurę.
6) Objętość talii.
7) Długość rękawa.
8) Długość spódnicy z przodu.
9) Długość spódnicy z tyłu.

Do oznaczenia miary, używamy miary francuzkiej, metra podzielonego na centymetry.

Wszystkie długości przy braniu miary, piszą się w całości, a szerokości w połowie.

Pracownia sukien, przy **szkole rzemiosł** istniejąca, przyjmuje zamówienia na **suknie**, **okrycia** i **dziecinne ubranka**. Prenumeratorki z prowincyi, przy zamówieniu, dołączyć powinny wyżej wskazaną miarę.

Cena sukni wełnianej z naszego materyału od rs. 25 i wyżej.

Cena okrycia . . . . od rs. 20 i wyżej.
,, ubranka dziecinnego od rs. 3 i wyżej.

OGŁOSZENIA

przyjmują się w cenie 10 kop. za wiersz lub jego miejsce.

Do dzisiejszego N-ru dołącza się: Rycina kolorowana i Dodatek powieściowy, „Anna Hereford," ark. I.

Дозволено Цензурою. Варшава 10 Марта 1881 года.

W Drukarni J. Bergera, ulica Elektoralna Nr 14. Redaktorka i Wydawczyni **Marya Ratyńska.**